



Kryminał z myszką

133

Śledztwo prowadzi porucznik Szczęsny

Anna
Kłodzińska

Anna Kłodzińska

Współpraca: Józef Radzicki

ŚLEDZTWO PROWADZI PORUCZNIK SZCZĘSNY

Kryminał z myszką – Tom 133

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-47-1

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsze wydanie: MON, Warszawa 1957

Antosiak, dozorca domu przy ulicy Złotej 21, był nie w humorze. Licho nadało te komisje czystości czy porządków – jak tam się nazywają, akurat w ten piątek, kiedy Antosiakowa robiła pranie, i świętym, od lat ustalonym obowiązkiem jej męża było przynieść węgiel, a potem pomóc w wieszaniu bielizny. Antosiak przyzwyczał się już do tego „obowiązku” i traktował go jako swoistą rozrywkę w monotonnym życiu dozorca.

Komisja miała jednak przyjść lada godzina. Wprawdzie podwórze i schody były czyste, na strychu piasek i co tam trzeba przeciw pożarowi, ale... tak, było jedno „ale”. Jeżeli komisji zechce się nagle zejść do ganków pod piwnicami, gdzie Antosiak nie był od – no, chyba od paru lat, to z tą czystością może być krucho.

Dozorca był ambitny i wrażliwy na krytykę. Toteż westchnąwszy raz jeszcze i nawydziawiawszy ile się dało na jakąś tam komisję (przed wojną, panie, tego nie było i świat się nie zawalił), wziął miotłę, szufłę, stary pogrzebacz i zeszedł schodami wiodącymi do piwnicy.

W głównym ganku było światło elektryczne i dosyć czysto. Antosiak zgarnął na szufłę jakiś kłębek wiórów, kawałek węgla, brudną szmatkę – rozejrzał się i zawahał. W lewo od ganku załamanie korytarza prowadziło do piwnicy emerytowanego radcy Mayera. Właściwie nie było po co tam chodzić. Radca żył samotnie, do piwnicy nigdy nie schodził, bo po prostu nie miał co w niej trzymać. W kamienicy było centralne ogrzewanie, a obiady jadał w pobliskiej restauracji; niepotrzebny więc był mu węgiel ani kartofle czy marchew. Piwnica była zamknięta na kłódkę, od której dawno zgubił klucz, i nic go to nie obchodziło.

Toteż Antosiak wahał się, czy zajrzeć w załamanie korytarza, czy dać sobie z tym spokój.

– Po cholerę będę laźł... – mruknął, bo nagle zrobiło mu się jakoś nieswojo. Obejrzał się, splunął i wzruszył ramionami. Nie był strachliwy. A przecież coś go przejęło niepokojem...

Pociągnął nosem... jeszcze nie mógł sobie uzmysłować, co czuje; z ciemnego załamania płynęła jakaś nikła, obca woń, od której niepokój jego zaczął wzrastać.

– Zdechły szczur? kot? tłące pakuły? – próbował przyłożyć te określenia do nieznanego zapachu, ale żadne nie pasowało.

Stał tak dobrą chwilę i niezdecydowanie obracał w palcach kij od miotły. Był moment, że miał ochotę wrzasnąć, wziąć nogi za pas i jak najszybciej znaleźć się tam, na górze, w podwórzu, w pełni świeżego, majowego poranka.

– Stary durniu! – powiedział wreszcie do siebie. Przekreślił kontakt na ścianie, ale światło nie zapaliło się. W lewym korytarzu nie było widocznie żarówki albo się przepaliła. Znów się zawahał. Potem położył miotłę, szufłę i pogrzebacz na ziemi, wyjął z kieszeni pudełko zapalek i świeczkę, którą zawsze brał ze sobą, ilekroć schodził do piwnicy. Zapalił ją i postąpił parę kroków w lewo, wysoko podnosząc w górę migocące światło. Teraz nieznanym zapachem spotęgował się. Antosiak poruszył nozdrzami i nagle uczuł, że blednie, a gdzieś z tyłu czaszki – jak gwałtowny ból – chwyta go zimny, przeraźliwy strach...

A przecież przed drzwiami piwnicy radcy Mayera nie było nic, co mogłoby wzbudzać obawę. Drzwi były jak zawsze zamknięte, duża kłódka tkwiła nieruchomo, pokryta grubą warstwą kurzu. Dokoła nie było tłących paków ani zdechłego szczura czy kota. A więc?...

Pod drzwiami czerniał otwór, zabezpieczony czterema żelaznymi prętami. Otwór ten – Antosiak wiedział – prowadził do wnęki, skąd wiodło przejście do trzech innych lochów biegnących pod piwnicami. Czort wie, komu i kiedy potrzebne były te lochy i po co je budowano. Dom przy Złotej 21 był jednym ze starszych domów miasta; jego budowniczy miał widocznie jakiś cel w takim właśnie, a nie innym zakładaniu piwnic. Kiedyś podobno trzymano w lochach wino, w co Antosiak nie wierzył, bo piwnice były wilgotne – kiedy

indziej znów mówiono, że to pierwszy właściciel założył lochy w przewidywaniu wojny i podobno rzeczywiście służyły komuś za schronienie przed gestapo. Dość, że lochy istniały. I teraz dozorca stał niedaleko otworu nie mając odwagi doń się zbliżyć. Zauważył, że jeden z prętów był wyrwany z ziemi i odgięty, przez co otwór poszerzył się.

Co było w lochu? Skąd szedł ten okropny zapach? Antosiak nie był tchórzem; bał się tylko umarłych. Za nic nie poszedłby w nocy na cmentarz, a nawet kiedy przechodził obok sklepu z trumnami, odwracał głowę w drugą stronę.

A jednak trzeba się było przekonać... Postąpił jeszcze dwa kroki i przewyciężając strach pochylił się nad otworem...

Wystarczyło jedno spojrzenie, aby zdobyć pewność, że w lochu leżą zwłoki. W głowie dozorca zakłębiło się naraz od myśli: Kto to? Skąd? Od kiedy? Morderstwo... Kto zabił? Dlaczego?! – Ciekawość była silniejsza od strachu, więc przybliżył świeczkę do otworu. I nagle wydało mu się, że trup ubrany jest w aksamitną, błyszczącą suknię...

Kobieta? Czy z tego domu zginęła jakaś kobieta? – Nie, przecież on by o tym wiedział! Czyżby więc ktoś podrzucił do obcej piwnicy czyjeś zwłoki? Któż mógł zdobyć się na to, aby je przenieść przez ulicę?

A może... może ta kobieta do kogoś przyszła? A więc w domu – w domu, w którym on jest dozorcą – popełniono morderstwo?!!

– Chryste Panie! – jęknął i oparł się plecami o ścianę, bo nogi zrobiły mu się nagle jak z waty. Morderca... w tym domu... może jeszcze mieszka? Ale kto – KTO?!

Otarł czoło mokre od potu i schylił się po szufłę i miotłę. Bezmyślnie zagarnął trochę śmieci i znów spojrzał w otwór. Drgnął. W nikłym świetle błyszczały na zwłokach dwa duże korale: czerwony i niebieski. Dwa korale... Zawieszone na strzępku nitki, połyskiwały wesoło, kontrastując z ponurą grozą porzuconych przez mordercę zwłok.

– Miała korale... – mruknął nie mogąc oderwać od nich oczu. Strach ustąpił miejsca dziwnemu uczuciu jakiegoś żalu.

Kupiłaś sobie korale, a teraz tu leżysz martwa... – myślał. – Co za drań cię tak urządził!

Świeczka zaczęła skwierczeć; dopalała się. Antosiak spiesźnie wycofał się do głównego ganku, gdzie było światło. Zapomniał o komisji; teraz potrzebny był tu zupełnie ktoś inny.

Wyszedł na schody, zamknął drzwi od piwnicy i klucz wsunął do kieszeni. Wiedział, co ma robić; kiedykolwiek i przez kogokolwiek zabójstwo zostało popełnione, morderca może być jeszcze w tym domu. A więc, im szybciej zjawi się tu milicja, tym lepiej.

– Coś ty taki blady? – przestraszyła się Antosiakowa, gdy stanął na progu kuchni. – Bój się Boga, chory jesteś czy co? Całe czoło masz mokre.

– Nic – odburknął. Wytrzeł twarz ręcznikiem, napił się wody i sięgnął po czapkę.

– Wychodzisz? A jak przyjdzie komisja? – żona patrzyła na niego ze zdziwieniem.

Wyraził się brzydko, gdzie ma komisję. Zresztą, powiedział, zaraz wróci – nie chciał z żoną o tym mówić, a o niczym innym nie byłby w stanie.

Do najbliższego komisariatu MO było nie dalej jak trzysta metrów, ale Antosiakowi zdawało się, że idzie aż na koniec miasta. Na dworze był rześki, pogodny dzień, dzieci uganiały się po ulicy z wesołym piskiem, w świeżej zieleni drzew wróble ćwierkały jak oszalałe; świat był zadowolony z wiosny, słońca i czegoś tam jeszcze – a on szedł jak na pogrzebie. Szedł i rozmyślał. – Zaczna pytać, badać, jeszcze się mnie uczipią! – Aż przystanął na chwilę. – No, przecie nic nie wiem – powiedział prawie na głos. – Tak czy owak zameldować trzeba.

Wszedł do komisariatu.

– Co nowego, panie Antosiak? – zagadnął go znajomy milicjant. Dozorca machnął ręką.

– At, tam... Komisarz jest?

Antosiak nie mógł się nauczyć, że w komisariacie jest kierownik, a nie komisarz.

– Porucznik u siebie – odparł milicjant, trochę zdziwiony. Rozmowny zazwyczaj, wesoły dozorca wyglądał, jakby go spotkało jakieś nieszczęście. – Niech pan wejdzie.

Porucznik Szczęsny pisał coś w notesie przy biurku. Był to młody jeszcze, szczupły mężczyzna o bardzo jasnych, prawie białych włosach i dużych, czarnych oczach. Na widok Wchodzącego uśmiechnął się i odłożył pióro.

– Dzień dobry. Cóż tam słyszać? – zapytał.

– Żle! – uciął krótko dozorca. – U mnie w piwnicach... pod piwnicami, w lochach... jedna zabita jakaś. Znaczy się, zwłoki.

Oficer uniósł lekko brwi i przyjrzał mu się uważnie. Nie, Antosiak nie wyglądał na pijanego, raczej na chorego.

– Zwłoki? – powtórzył chowając notes i rozglądając się już za czapką. – Zwłoki kobiety?

– Chyba tak, bo w aksamitnej sukni. I te... korale. A tu jeszcze komisja czystości... cholera z tym wszystkim! – zaklął dozorca denerwując się coraz bardziej.

– No dobra, chodźmy! – powiedział porucznik Szczęsny. Przelotnie pomyślał, że staremu coś się pokręciło w głowie; co ma wspólnego z trupem jakaś komisja czystości?

Zabrał z komisariatu jeszcze dwóch milicjantów i latarkę, bo Antosiak uprzedził, że w lochach jest ciemno.

* * *

Gdy podeszli do załamania korytarza, dozorcę znowu opuściła odwaga.

– To tam! – rzucił pokazując ręką przed siebie. Milicjanci zbliżyli się do otworu. Oficer poświecił latarką i gwizdnął przeciągle. Taaak... stary nie zmyślał. W lochu leżały zwłoki kobiety, na oko już chyba od pół roku albo i więcej. I rzeczywiście mogła mieć na sobie aksamitną suknię, bo w świetle latarki odzież jej połyskiwała srebrzyście. Były i korale...

– Czy pan ją zna? – zwrócił się porucznik do dozorca.

– Nie przyglądałem się – odparł Antosiak – ale chyba nie. Z naszego domu nikt nie zginął, nikogo nie szukali. Z sąsiednich – też nie słyszałem. Nie chciałem ruszać zwłok, zanim panowie nie przyjdą – tłumaczył, choć za żadną cenę nie tknąłby nieboszczyka ani nawet nie przyjrzał mu się bliżej. No, ale o tym nie musieli wiedzieć.

– Dobrze pan zrobił – pochwalił go porucznik Szczęsny. – Zresztą my też nie będziemy ruszać... na razie.

Wyszli zamykając drzwi od piwnicy na klucz, który tym razem powędrował do kieszeni kierownika komisariatu. Jeden milicjant został na posterunku. Antosiakowi kazano iść do domu, nikomu nic nie mówić i czekać na dalsze polecenia.

– To już wolę iść z panami na komisariat – mruknął dozorca. Wiedział, jak ciężką walkę przyszkóby mu stoczyć w domu z własną żoną, która potrafiła wyciągnąć z niego każdą tajemnicę.

Porucznik zgodził się. Tak było nawet lepiej. W komisariacie połączył się telefonicznie z ekspertem kryminalistyki i medycyny sądowej, doktorem Krasińskim. Na szczęście zastał go w domu. Ekspert obiecał, że zaraz przyjedzie.

– Tak... – powiedział Szczęsny w zamyśleniu, Podkładając słuchawkę.

Po kwadransie przed bramą komisariatu zatrzymał się samochód. Sierżant Kamiński wyjrzał oknem.

– Przyjechał doktor Krasiński – powiedział.

– Dobrze – oficer wstał i podszedł do drzwi. – Chodźcie, pojedziemy od razu na Złotą.

– W jakim stanie są zwłoki? – zapytał ekspert, gdy wsiedli do samochodu.

– Twarzy nie można rozpoznać, bo uległa rozkładowi. Ciało wygląda jako tako. Leży już chyba z pół roku albo więcej. Odzież zachowała się dość dobrze. Zdaje się, że ta kobieta

miała na sobie białą albo też srebrzystą suknię... jak gdyby aksamitną, czyżby to po jakiejś zabawie?

– Ofiara karnawału! – uśmiechnął się doktor Krasieński. – Byłaby więc w lochach gdzieś od lutego... No, zobaczmy.

Zatrzymali się przed bramą. Z sieni wysunął się czuwający tam milicjant. Zaskłutował ekspertowi. Poznał go mimo roboczego kombinezonu i szczerze przylegających, ochronnych okularów.

– Wszystko w porządku? – rzucił Szczęsny skierowując się w stronę piwnic.

– Tak jest, obywatelu poruczniku. Ale chciałem... – zawahał się.

– No co, Zieliński? – oficer przystanął patrząc nań badawczo.

– Tutaj mieszka mój kumpel, znaczy się – mój znajomy, też milicjant, tylko z V komisariatu.

– Na którym piętrze?

– Na trzecim, mieszkania sześć. A na parterze od tyłu – jego rodzice. Bo on jak się ożenił, to dostał pokój z kuchnią oddzielnie.

– Jak się nazywa ten milicjant? – Szczęsny wyjął notes.

– Łukasiak. Roman Łukasiak, bardzo bystry facet; on na pewno coś będzie mógł powiedzieć...

– Jak to rozumiecie? – oficer już odchodził, ale nagle zatrzymał się.

– Nie, żeby coś wiedział, boby przecież zameldował gdzie trzeba, ale że ludzi zna w kamienicy, mieszka tu od małego pętaka... – Milicjant był trochę zmieszany. Wyszło nie tak, jak chciał, i towarzyszący porucznikowi Kamiński przyjrzał mu się z ironicznym uśmiechem.

– Dobrze – Szczęsny pomyślał chwilę – zajdźcie do niego i zobaczcie, czy jest w mieszkaniu. Jeżeli tak, to niech tu przyjdzie. Tylko nie róbcie szumu. Ot, zaszłście do znajomego zapytać, co słyhać...

– Chodźmy – zniecierpliwiał się ekspert. Gorąco mu było w kombinezonie i uwierało coś pod pachą.

Porucznik Szczęsny otworzył drzwi od piwnic, wpuścił eksperta i sierżanta i przekręcił klucz od wewnątrz. Lada chwila ktoś z kamienicy mógł zejść po węgiel. Wprawdzie Antosiak również pilnował w bramie i nikogo nie wpuszczał, ale robił to tak gorliwie, że co chwila zbierała się nowa gromadka ciekawych, żadnych sensacji.

– Sierżancie, chciałbym podyktować wam protokół oględzin – powiedział ekspert. Oczywiście były teraz czujne i ostre, rozglądał się dokoła, macał ostrożnie ściany, wymierzał coś i liczył.

Sierżant Kamiński wyjął gruby notes i wieczne pióro.

– Wchodząc do piwnicy – zaczął doktor Krasieński – na drzwiach wewnętrznych, prowadzących na schody, znalazłem brunatny ślad wielkości cztery na dwanaście centymetrów na wysokości półtora metra. Drugi widoczny ślad, o tym samym zabarwieniu, na ścianie, w odległości od pierwszego o... zaraz wymierzę – tak, o sto dwadzieścia siedem centymetrów. Wielkość drugiego śladu: sześć na dwanaście centymetrów. Idziemy dalej!

Zeszli schodami w dół i skręcili na prawo. Szczęsny przyglądał się ścianom rozważając w myśli, czy śmierć nieznanej kobiety nastąpiła tutaj, czy gdzie indziej. Ślady, o których mówił przed chwilą ekspert, wskazywałyby raczej na to, że zabito ją poza obrębem piwnic i zwłoki zostały później zniesione do lochów. Niosąc je zabójca otarł się o drzwi, a potem trochę dalej o ścianę.

Chciał podzielić się tą myślą z lekarzem, ale urwał wpół słowa. Wiedział, co tamten powie. Dopóki nie przeprowadzi ekspertyzy, nie ma żadnych dowodów na to, że ślady są krwią. Może to być farba, jakieś zatarcie, brud czy co tam jeszcze.

Przeszli przez piwnice kierując się w stronę załamania. Po dokonaniu pomiarów korytarza ekspert wszedł w załamanie i stanął przed otworem. Obaj milicjanci zbliżyli się do

niego i stali tak chwilę w milczeniu, wpatrując się w zwłoki. W ostrym świetle latarek zamigotały dwa duże, barwne korale...

– Taak... – przeciągnął lekarz. – No cóż, zabierzemy się do roboty. Piszcie, sierżancie: pod drzwiami piwnicy... czyja to piwnica?

– Emerytowanego radcy Mayera – odparł Kamiński.

– ...piwnicy radcy Mayera znajduje się otwór wielkości osiemdziesiąt na czterdzieści centymetrów. Zabezpieczony czterema prętami żelaznymi grubości pięciu milimetrów w odstępach jeden od drugiego o około osiemnastu centymetrów. Prawy pręt jest wyrwany z ziemi i zagięty od strony wewnętrznej... Wiecie co, poruczniku, spróbujcie no wyrwać tein sąsiedni pręt, dobrze?

Szczęśny pochylił się i wyjął żelazo bez większego trudu. Pręt był długi; zakopano go w ziemi na jakieś siedemdziesiąt centymetrów.

– Dziwne, że tak lekko wyszedł... – powiedział sierżant.

– Stary, obluźował się – odparł porucznik oglądając dokładnie pręt. Ekspert machnął ręką:

– Tam nic nie znajdziecie, szkoda czasu. Gdyby ją zabito prętem... a zresztą, zobaczmy. Pochopne wnioski do niczego nie prowadzą.

Ostatnie słowa powiedział zduszonym głosem, gdyż właśnie prześlizgiwał się przez otwór do wnętrza lochu.

Ostrożnie, starając się nie dotknąć zwłok, przyjrzał się pozycji, w jakiej spoczywały, i leżąc na plecach, dyktował:

– Zwłoki ubrane są tylko w bieliznę. Po lewej stronie czaszki widoczne ciemnowiśniowe zabarwienie skóry. Lewe ramię z częścią głowy położone jest na...

– Na czym? – sierżant pochylił się nad otworem.

– Zaraz. Wolnego, obywatelu, tu nie piekarnia.

Szczęśny uśmiechnął się. Sytuacja, w jakiej znajdował się lekarz, naprawdę nie sprzyjała dowcipom.

– Położone jest... co mówiłem?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI